

Od autora: Ze zbioru " Listy do Ewy"

Zapraszam

Jak pachnie deszcz?

Droga Ewo,

zegar na wieży kościoła właśnie wybił dziesiątą. Za oknem czarna noc, a ja nadal tonę wśród kartonów i sterty przygotowanych do wywózki rzeczy. Chyba się zestarzałam, bo ten szalony bałagan działa na mnie jak koszmar, szybko się męczę i coraz częściej brakuje mi cierpliwości. Pytałam w ratuszu, dom, w którym obecnie mieszkam, najprawdopodobniej zburzą już w końcu tego roku. Nowy właściciel zamierza postawić dwa nowe budynki i dwupiętrowy garaż. Najwyraźniej wizje lokalnego biznesu i mieszkańców miasta nie spotkały się ze sobą.

Pisanie listów jest czynnością dość nieefektywną, ale daje mi radość spotkania z tobą i pozwala odetchnąć. Nasza przyjaźń - to rzecz nie do przecenienia, nie umiem z niej zrezygnować. Nawet jak się nie zgadzamy, to się rozumiemy. Zadajemy sobie pytania, ale nie czekamy na rychłą odpowiedź.

Moje długie milczenie wzięło się z bardzo trudnego okresu w moim życiu, zapewne był on także twoim udziałem. Widziałam tylko ciemność. Pandemia zmieniła wszystko. Ból, izolacja i powątpiewania w relacje z ludźmi. Szłam do sklepu i baba rzuciła we mnie siatką z chlebem, za uwagę, że nie ma maseczki. Dozorczyńni mówiła mi dzień dobry, jakby chciała dodać *ty głupia kurwo*, tylko się w ostatniej chwili powstrzymywała. Codziennosc odbierałam, jako podszytą wrogością, nienawiścią, nietajoną niechęcią. Choć mi to minęło, to jestem przekonana, że wtedy mój odbiór rzeczywistości był dużo bardziej realistyczny, prawdziwy. Czuję, że w tym czarno widzeniu byłam bliska jakiejś prawdy o naturze tego, co się teraz dzieje w Polsce. Może patrzę na świat trochę jak przez dziurkę od klucza, cudzymi oczami, zresztą sama już nie wiem.

Zbliża się północ, moja Zosia zapewne już śpi. Mam dla ciebie dobrą wiadomość — do końca lata przyszłego roku będzie ze mną mieszkała. Jej rodzice zapakowali się w tydzień i wyjechali. Tak, tak wiem, co o tym myślisz. Nie zgadzam się z tą opinią i odpowiem krótko: JESTEM SZCZĘŚLIWA!

Dla mojej wnuczki przeprowadzka to czysta zabawa. Tam gdzie ja znajduję codzienność, ona myszkuje po szufladach otwieranych na chybił trafił, odkrywa zawsze coś niezwykłego. Nigdy nie wiadomo, co ujrzy. Co do jednego mogę mieć pewność - będą tam rzeczy dziwne, a przedmioty niepokojące. Takie, których istnienie nie mieści się w głowie. Umieszcza je w swoim Biurze Rzeczy Znalezionych, bez jakiegokolwiek systematyki i hierarchii, tylko, dlatego, że mają arcyciekawą historię.

Dni spędzone z Zosią to delikatna i ciepła zachęta do zaglądania pod podszewkę dziecięcego świata. To wzruszająca opowieść o tkaniu swojego miejsca na świecie. Wystarczy się w nią wczytać, pozwolić się jej odsłonić. Opisuję te *ważne dni* w pamiętniku. To swoiste kronikarstwo mnie odpręża. Nie muszę tego robić w konkretnym miejscu, przy konkretnym biurku, czasem wystarczy twarda ławka w parku lub na przystanku autobusowym. Pamiętnik noszę w torebce. Są takie dni, gdy moich problemów nie rozumie

nikt oprócz tego notesu. Pamiętasz, dostałam go w prezencie od ciebie na czterdzieste urodziny.

Może mam głupią skłonność do szukania dziury w całym, zresztą oceń to sama.

Nie dalej niż wczoraj około południa smażyłam frytki, gdy do kuchni wpadła moja Zosia.

— Moje serce myśli tylko o żołądku, ale nie spiesz się, Babciu — mruknęła i odwracając się na pięcie, znikła w schowku na szczotki, do którego wieki nie zaglądałam.

Nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby po godzinie moich uszu nie doszedł łomot, którego nie potrafiłam sobie wyjaśnić. Odczekałam chwilę, aby to trzęsienie ziemi - czy cokolwiek to było - ustało, ale kiedy nie ustępowało podeszłam do drzwiczek schowka i ostrożnie wstawiłam głowę do wewnątrz.

— Kobieto, nie zbliżaj się! Ostatnio zszarzałaś, wielkimi krokami zbliżasz się do Nicości! — mówi ci to Matka Przeczucia!

Na dźwięk tych słów i obrazu, który zawisł przed moimi oczami, osłupiałam. Z sufitu długiego, wydzielonego ze strychu pomieszczenia zwisała ogromna jak hamak płachta pajęczyny. W jej lepkich nitkach i stertach walających się wokół rupieci miotła się niewielka postać. Gdy mój oddech się nieco wyrównał zauważyłam, że pod kędzierzawymi włoskami i starą sylwestrową maskę zombie zarzyło się dwoje znajomych dużych oczu, okrągłych jak księżyc w pełni. Zosia miała, na sobie przybrudzone tenisówki i grube skarpety, ciężką spódnicę, postrzępione na końcach palców za duże rękawiczki i mój stary czarny sweter, do którego dorobiła pompony, do złudzenia przypominające trupie główki. Światło zmroku sączące się w ciemną studnię schowka ledwo wystarczało, żeby odróżnić ciało podskakującej dziewczynki od czarnych kształtów, nieruchomo sterczących w głębi.

— A więc tutaj tkwisz, między brudnymi szczotkami przebranymi za strachy na wróble?

Obudzona moim pytaniem zaczerwieniła się, a jej wzrok mnie unikał.

— Nie powinnaś tutaj przychodzić! To klasztor mrocznych bestii, z niego nie ma ucieczki.

Uśmiechnęłam się.

Przewraca kartki swojej wyobraźni, no i bardzo dobrze. Niech ta chwila szczęścia trwa jak najdłużej...

Ledwo to pomyślałam, gdy rozległ się natarczywy dzwonek do drzwi mieszkania. Nie bardzo wiedziałam, co zrobić, ale, gdy się powtórzył, ociągając się, niechętnie otworzyłam. W progu stała sąsiadka, mieszkająca samotnie, stara wdowa. Patrzyła na mnie czerwona ze złości twarz niczym pysk wściekłego buldoga, otulona rzadkimi włosami w nieładzie. Widać było, że stan emocji kobiety był daleki od normalnego.

— Wezwałam, kurwa, gliny! — wyrzuciła z siebie, tupiąc nogami obutymi w bambosze z żółtego pluszu.

Groza mieszała się ze śmiesznością, ale tak trudno mi było wydusić z siebie coś sensownego, więc milczałam jak grób.

Nie rozumiałam, czemu ma ona do mnie pretensje, bo nigdy dotąd nie hałasowałam. Nie jesteśmy sobie całkiem obce. Mieszkamy w tym samym budynku od wielu lat. Spotykałyśmy się na korytarzu lub przy skrzynce pocztowej, wymieniając pozdrowienia i uśmiechy.

— A to ci niespodzianka! Jestem szczęśliwa, że bilet dotarł. Zapraszam do naszego klasztoru.

Głosik mojej wnuczki przerwał niezręczną ciszę.

— A jest w nim miejsce na kulturę? - wysapała sąsiadka.

— Walczę o to, proszę pani.

— Ach, tak...

Mówiąc to, kobieta wyszczerzyła zęby w fałszywym uśmiechu i po chwili namysłu dodała:

— Nie lubię dzieci, ale ty mała jesteś jakaś inna.

To prawda, nawet przedmioty skłoni do mówienia, pomyślałam rozbawiona, przypatrując się Zosi bacznie. Rozprawiała z taką swobodą, z jaką żongler manipuluje piłeczkami.

Niestety, pozostali sąsiedzi mieli odmienne zdanie.

OBRZYDLISTWO! OHYDA! ZŁO ZAMIESZKAŁO W TYM DOMU! Te i inne słowa widniały na kartce, znalezionej nazajutrz, na wycieraczce pod drzwiami do mojego mieszkania. Czytałam z okrągłymi oczami, przez głowę przemknęła myśl:

Życie byłoby wspaniałe, gdyby nie ludzie.

A moja Zosia:

— Babciu, nie przejmuj się to tylko list od jednej z trojga Głęboko Myślących, to my jesteśmy posłańcami mocy i na pewno należymy do innego klasztoru.

A teraz zaparzę sobie czarną herbatę. Może po niej zacznę mówić strawnymi zdaniami.

Była gorąca, parzyła usta, ale to nic, od razu czuję się lepiej i mogę kontynuować pisanie.

Ten dzień domagał się, by zostać opisany. Dzieciństwo kurczy się tak szybko, zostają po nim tylko ulotne wspomnienia, uczucia, których nie umiemy nazwać słowami, postacie jakby z papieru... Chciałabym ci opowiedzieć wszystko naraz, ale boję się, że mnie zganisz, więc zacznę od początku.

Spacer po pobliskim parku, od rana nas nęcił. Był sierpniowy dzień, drzewa rzucały głębokie cienie, powietrze wydawało się słodkie, jak to tylko możliwe jest w mieście. Wędrowałyśmy ulicą Jana Kilińskiego w Gdańsku. Pamiętasz? - To blisko „Metropolii”, nazywanej kiedyś przez Zosię Wieżą z Kości Słoniowej. W bezchmurne niebo wspinały się spiętrzone elewacje tego wielkiego monumentalnego budynku.

Dumnie błyszczały w słońcu, ale z wnętrza nie dochodził żaden głos, umilkł tupot tysięcy stóp, tylko ciszsza błąkała się po korytarzach. Moja wnuczka pierwsza dotarła do celu. W normalnej sytuacji park powinien rozbrzmiewać chórem dziecięcych głosów, a tu cisza jak makiem zasiał.

— Chwileczkę, Zosiu, zatrzymaj się — krzyknęłam.

Stanęła, wytrzeszczając oczy.

— Tu gdzie stoisz był kiedyś rozległy staw, otoczony ziemnym wałem. To niezapomniane, pełne magii miejsce, które często powraca w mojej pamięci. Niestety staw zniknął, podobno musiał zostać zasypyany, rozumiesz? — zagaiłam, bo nic mądrzejszego nie przychodziło mi do głowy.

— A jak nazywał się ten staw? — zaszczebotała.

— Właściwie nie miał nazwy, a my nazywaliśmy go Jeziolem Starych Cesarzy.

— Jeziolem Starych Cesarzy? Dlaczego? Nie widzę tu nikogo, kto by wyglądał na starego.

— Nie? — zachichotałam.

Zosia zwykle ma tysiąc pomysłów na godzinę, ale ku mojemu zdziwieniu tym razem słuchała z uwagą. Co miałam począć? Opowiadałam dalej:

— Wystarczył patyk, kawałek konopnego sznurka, obgryziony splawik z korka do butelki i braliśmy się do roboty, zanurzając się po kolana w mętnej wodzie stawu. Słabe słońce oświetlało krajobraz. Niezmącona cisza, otulała jak miękki płaszcz. Na bezkresnym niebie snuły się tylko ptaki. To brzmi mgliście i nie oddaje wysiłku niezbędnego do złowienia nawet najmniejszej żaby. Gdy się udało, wcale nie byłam zmieszana faktem dziecięcego okrucieństwa, odwrotnie, pękałam z dumy, z piersi płynął okrzyk radości. Brałam żabę na służbę, zamykając ją w wysokim słoju. Żaba zwykle była niepiękna, ale zawsze mogła okazać się księżniczką zaklętą przez jednego ze Starych Cesarzy. Nie było dowodów na ich istnienie, ale nie traciłam nadziei, że kiedyś ich spotkam.

W trzeci dzień deszczu poszłam nad staw sama. Jego aksamitne, ciepłutkie kropelki, co w lecie było czymś oczywistym, tańczyły w rytm podmuchów wiatru z nad morza. Usiadłam nad brzegiem stawu. Od ziemi biło miłe ciepło. Nagle ujrzałam żabę - maleńką, kruchą. Gdy chciałam wziąć ją w dłonie z jej pyszczka wysunął się ledwo tłący się języczek ognia i wtedy usłyszałam cichy, śpiewny śmiech. Serce mi waliło z emocji, nawet trochę zakręciło się w głowie. I wtedy w złotym zwierciadle żabich oczu pojawiła się najpierw mała, lecz potem stopniowo coraz większa i coraz lepiej widoczna postać. Była to dziewczynka mniej więcej w moim wieku, wyglądała jak mała, nadzwyczaj piękna księżniczka. Wpatrywałam się w ten wizerunek z zachwytem, nie mogąc się nadziwić. Już miałam zapytać, kim jest, gdy usłyszałam za plecami jęk. Po grzbiecie przeszły ciarki.

— Stary Cesarz? — wyszeptała, przyglądając mi się, rozmarzona.

— Nie, to był tylko nasz sąsiad. Leżał pijany w rowie i nie mógł wstać. Nagle zrobiło się ciemno. Ściana deszczu powiewała jak kurtyna nad stawem. Podniosłam go i doprowadziłam do domu. Krzyk mamy o przemoczone ubranie, był tylko zbiorem małych i dużych liter, ułożonych pionowo lub poziomo lub rozsianych na stronie pamiętnika. Wyczekująca kartka sklejała się z kartką, skrzypiał krótki ołówek, a ja utr-

walałam świeże przeżycia w świetle latarki.

Zosia usiadła obok mnie na ławce. Słońce właśnie zachodziło, obłoki wieczornego nieba wyglądały jak płynne złoto. Zapadło milczenie, nie wiem jak długo trwało. Powróciła przeszłość, cudowne chwile z utraconego dzieciństwa, nietrwałe jak światło, trudne do uchwycenia niczym promień słońca. Czasem nie zaszkodzi odrobinę pomarzyć.

— Babciu, a jak pachniał deszcz, no wtedy, nad tym stawem?

Zdziwiło mnie to pytanie. Obróciłam twarz w stronę mojej wnuczki.

— Dotąd się na tym nie zastanawiałam. Ale czy to takie ważne?

Zosia postanowiła się nie ruszać i czekała. *To typowe dla wieku. Zawsze była uparta, wszystkiego ciekawa i ciagle lubi bajki, a mnie nic nie przychodzi do głowy*, pomyślałam, dopalając nerwowo papierosa.

— Babciu, czy jeszcze mnie słyszysz? Dlaczego nikt tego nie wie? Chyba nigdy się tego nie dowiem.

— Zapach deszczu zależy od miejsca, w którym się znajdujemy. Niektórzy opisują go, jako zapach świeżości i lekkości, inni kojarzą z wonią ziemi. Ziemia ma piękny zapach, gdy gości na niej spokój, radość i czułość. Nic więcej mądrego nie umiem powiedzieć.

Objęła mnie i nie wypytywała dalej.

Z pisanem listu do ciebie, jest jak zaplataniem grubego warkocza. Kiedy zaczyna mi się wydawać, że już chwyciłam główny wątek, dokładam pasmo mojej historii z drugiej strony. I już zaczynam się go trzymać, by historia się zacieśniła, ale gdzie indziej. A jest, co czesać!

Ta historia zapisała się we mnie na długo, czarnymi zgłoskami. Pozbawiona jest humoru i magii, mogłaby dziać się w świecie *Opowieści Podręcznej*

— Babciu, Strajk Kobiet jest już w Gdańsku. Obiecałam sobie i dziewczynom z klasy, że mnie tam nie zabraknie. Szybciej! Idziemy!

— Co ty wygadujesz? Wolałabym, byś tego nie robiła. To na pewno nie jest zwiedzanie miasta — zaprotestowałam uzbrojona we własne doświadczenia z młodości.

— No, chodź! Proszę.

Główną ulicą pod górę szedł tłum, duża grupa mężczyzn i kobiet. Z biegiem czasu urósł do rozmiarów Ważnej Części Życia. Byłyśmy jego częstką, kropelką. Ludzie uśmiechali się w szczególny sposób, potrząsając nasiąkłymi deszczem kawałkami kartonu.

To dramat naszych czasów, za późno mówić, że jest mi wszystko jedno, przemknęło.

Trzysta metrów w linii prostej ode mnie stada ludzi w granatowych mundurach polowały na kobiety. Trzęsły się ściany domów, a one nie uciekały jak żaby, nie żebrały o prawo do głosu. Nie było w nich lęku. Szły dumne, skupione, patrzące uczciwym spojrzeniem na siebie i innych. I to nie była moja narracja. Ich heroicznym optymizmem mogłam się posilić, nie czując smagania deszczem, który spadał na ziemię z coraz większym impetem.

— Deszcz dziś pachnie...

Moja wnuczka zastygła w zamyśleniu, szukając właściwego słowa. Głos miała niewyraźny, łamał się duszony szmatką przypiętą do uszu luźnymi gumkami, oczy krzyczały łzami.

— Obserwuj wszystko uważnie. To jedyny sposób, aby go poczuć. Stoimy pod Bramą Zagadek, ale czy uda się nam przez nią przejść? Chyba wcześniej musimy pokonać Morze Mgieł — próbowałam tłumaczyć, nie wychodząc z roli.

Zosia uśmiechnęła się krzywo, chyba moja odpowiedź zbiła ją z tropu. Bo co miałam jej powiedzieć i po co opowiadać bajki, gdy słyszała i widziała to samo, co ja.

Nagle nad naszymi głowami uniósł się bezszelestnie duszący obłok. Z małej piersi wyrwał się krzyk.

— Puścili gaz pieprzowy, uciekajcie! — wydyszał mężczyzna o kulach.

Zakolebał się we mnie oddech. Brnęłyśmy przez plac otoczony ogniem rac, kłębam dymu, wprost na kordon policji. Smród prawie uniemożliwiał oddychanie. Deszcz zalewał twarze, ściekał za kołnierze, zimnem i wilgocią przenikał przez płaszcze i kurtki. Nagle przez tłum demonstrantów przeszedł szmer, dało się słyszeć okrzyk komendy. Uderzenie granatowej siły przewrócił na chodnik zgarbioną staruszkę, w chwilę później moją Zosię. Podnosiły się z wysiłkiem. Policjant stojący tuż obok z groźną miną wywijał w naszym kierunku pałką. Wokoło nie było nikogo, przed kim musiałby się bronić.

Powrót do domu nie wygładził konturu zdarzeń. Pozostał dreszcz na plecach i jakiś zimne cienie. Zosia skuliła się na kuchennym taborecie, wpatrując się w swoje stopy.

— Babciu, już wiem, deszcz był słony i gorzki... pachniał łzami.

Nie chciała powiedzieć nic więcej. Zrozumiałam, że nie jest jeszcze gotowa na rozmowę o sprawach, które wprowadziły chaos do jej świata. Potrzebowała czasu. Do późnej nocy gorączkowe myśli plątały się po mojej skołowanej głowie:

Coś umarło, a może rodzi się nowe? A Solidarność? Ciężki na niej kamień! A co znajdzie się w tej opowieści? Napisze się sama, klocki potoczą się w świat...

... teraz już pora pewnie tylko na życzenia. Niedługo skończy się rok, w którym zdarzyły się rzeczy i nie-
złe i gorsze. Nadchodzi nowy, zatem spróbujmy, Ewo, być szczęśliwe.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

JOLA S., dodano 30.01.2021 14:59

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.